

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Aleksander Bregman

Józef Czapski

Stanisław Stroński

Stefanja Zahorska

Vol. 3. Nr. 22 (127) Nowy Jork, 3go czerwca — New York, 21, N. Y., June 3rd. 1945.

Cena 20 ct.



GENERAL TADEUSZ KOMOROWSKI (BÓR)
Wódz Naczelny Armji Polskiej po uwolnieniu z obozu jeńców

STANISŁAW STRONSKI (dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu)

CELE WOJNY ROSJI

Rosja Sowiecka nie prowadzi polityki z dnia na dzień. Ustala swe cele i układa swe działania na dłuższe okresy. Przewiduje różne i zmienne możliwości i dostosowuje do nich różne i zmienne własne sposoby postępowania wraz z doborem chwili do poszczególnych kroków w pochodzie do celu.

Do podstawowych założeń Rosji Sowieckiej, tem istotniejszych i głębszych, im staranniej właśnie dlatego pokrywanych hasłami pokojowymi, należała od początku rachuba na wielką wojnę między państwami świata t. zw. kapitalistycznego, która je osłabi a ją wzmoże.

Rosja Sowiecka w r. 1939 obrała wyraźnie i stanowczo politykę ułatwienia wybuchu wojny, a nie politykę ratowania pokoju. Nie jest to domysł tylko. Mówią to dokładnie, dobitnie i niespornie ówczesne działania Rosji Sowieckiej.

Jedynym sposobem zapobieżenia wojnie, po zajęciu Czechosłowacji przez Niemcy w marcu 1939, było porozumienie się, przeciw dalszym ich napadom, Wielkiej Brytanji i Francji, które już porozumiały się z Polską, również i z Rosją. W tym celu od maja do lipca 1939 toczyły się rokowania brytyjsko-francusko-sowieckie; do Moskwy przybył 14 czerwca 1939 z Foreign Office p. William Strang; w początku sierpnia 1939 pojechali tam również wysocy wysłannicy wojskowi brytyjscy i francuscy. Porozumienia jednak w ciągu blisko czterech miesięcy rokowań umiejętnie przewlekanych przez Moskwę nie osiągnięto.

Jedynym zaś sposobem zapewnienia wybuchu wojny w r. 1939 było porozumienie się Rosji z Niemcami, zabezpieczające Niemcy, po uderzeniu na Polskę, przed koniecznością jednoczesnej walki przeciw Francji i Wielkiej Brytanji na zachodzie i Rosji na wschodzie. To się stało. W czasie rokowań brytyjsko-francusko-sowieckich wiosną i latem 1939, usypiających czujność, dokonywało się tajne nawiązanie niemiecko-rosyjskie, niemal nieprawdopodobne po zaciętym zatargu od chwili dojścia Hitlera do władzy, a 23 sierpnia 1939 Rosja zaskoczyła świat podpisaniem w Moskwie, dokąd przybył von Ribbentrop, układu niemiecko-rosyjskiego, zapewniającego Niemcom życzliwą bierność Rosji w razie wojny.

Układ niemiecko-sowiecki z 23 sierpnia 1939, podpisany na tydzień przed uderzeniem Niemiec na Polskę, nie był oczywiście układem obliczonym na nieznanne możliwości dal-

sze, ale był układem, mającym na oku właśnie bliski, za kilka dni, wybuch wojny.

Poza ogłoszonym układem stanęło bowiem jednocześnie w Moskwie porozumienie dotyczące rozbioru Polski, które Hitler później, po dwu latach, w mowie z 22 czerwca 1941, w chwili uderzenia Niemiec na Rosję, nazwał bardzo korzystnym dla Rosji, jeśli się uwzględni jej późniejsze niż niemieckie wkroczenie do Polski od wschodu i znacznie mniejszy nakład wysiłku w celu podbicia Rosji. Istotnie, 17 września 1939 Rosja uderzyła na Polskę, a 28 września 1939 podpisany został, w myśl porozumienia sierpniowego, układ Ribbentrop-Mołotow o rozbiore Polski.

W ten sposób Rosja Sowiecka, której porozumienie z Wielką Brytanią i Francją mogło powstrzymać wybuch wojny, a której porozumienie z Niemcami musiało go uczynić nieuniknionym, wzięła udział czynny w wywołaniu wojny r. 1939.

Uchybiły Rosji Sowieckiej, toby chciał twierdzić, że to jej działania nie było nieświadome. Nikt zresztą tego nie uczyni. Ktokolwiek bowiem oceniałby tak nisko politykę zagraniczną Rosji Sowieckiej i przypisywał jej tak lekkomyślną nieświadomość w działaniach wystawiłby tylko sobie samemu świadectwo nieuleczalnej głupoty.

* * *

Rosja postanowiła przyczynić się rozstrzygająco do wybuchu wojny w r. 1939, gdyż w starannych swych zawsze rachubach obliczyła i uznała, że nadeszła chwila, przewidywana podstawowo w jej polityce, gdy wojna w Europie, wciągając w starcie główne państwa, da jej odrazu korzyści bez wielkiego wysiłku zdobyte, a przedewszystkiem pozwoli jej, stojącej na uboczu, zebrać siły na wkroczenie w dalszym rozwoju zdarzeń.

Doraźne korzyści Rosji, przyznane jej w porozumieniu z Niemcami 23 sierpnia 1939, nie ograniczyły się do rozbioru Polski i zagarnięcia jej połowy we wrześniu 1939. Od początku października i listopada 1939 Rząd ZSRR zawezwał do Moskwy przedstawicieli Rządów Estonji, Litwy i Łotwy na rokowania, których wynikiem było osadzenie w tych krajach w listopadzie 1939 załóg rosyjskich, a w czerwcu 1940, wobec klęski Sprzymierzonych w Europie Zachodniej, całkowite ich zagarnięcie. W grudniu 1939 Rosja Sowiecka uderzyła na Finlandję i w układzie pokojowym w marcu 1940 odebrała od niej te ziemie, które chciała zagar-

nać. Wszystko to było natychmiastowym następstwem i częścią porozumienia Rosji Sowieckiej z Niemcami z 23 sierpnia 1939.

Lecz to był tylko łatwy początek. Poprostu Rosja zabierała sobie umówioną z Niemcami bezpośrednią zapłatę za życzliwą bierność i za gotowość płatnych osobno dostaw wojennych z benzyną na pierwszym miejscu. Oczekiwane, w miarę rozwoju wojny, korzyści zarysowywały się znacznie rozleglej.

Rosja przeżyła, po wiośnie piorunujących zwycięstw niemieckich na zachodzie, w Norwegji, Holandji, Belgji i nawet, wbrew wszelkim oczekiwaniom, we Francji, pełne trojski lato 1940. Jeśli powiedzie się najazd na Wielką Brytanię, Niemcy będą mogły całą swą siłę nie tylko nie wyczerpaną lecz znakomicie wzmożoną i zaprawioną w zwycięskich bojach, zwrócić przeciw Rosji i urzeczywistnić głoszony przez lat dwadzieścia cel główny Hitlera. Lecz w bitwie o Wielką Brytanię Niemcy zostały odparte i Rosja w jesieni 1940, odetchnęła z ulgą.

Bitwa o Wielką Brytanię we wrześniu 1940 — tak samo rozstrzygająca o całej wojnie jak w poprzedniej wojnie bitwa nad Marną we wrześniu 1914 — ocalała także, i to w najpewniejszym tego słowa znaczeniu, Rosję.

Zrozumiały znaczenie tego wyniku Niemcy. Stało się dla nich rzeczą ponad wszystko jasną, że nie mogą, zużywając swe siły na długą już walkę zachodnio-europejską i wystawiając się na pustoszące naloty w miarę narastającej siły lotnictwa brytyjskiego, pozostawić Rosji w spokoju i pozostawiać jej wybór chwili uderzenia. Uderzenie Hitlera na Rosję 22 czerwca 1941 było szaleństwem niemal samobójczym, ale przymusowem, gdyż czekanie było samobójstwem pewnem.

Rosja, która wolałaby jeszcze odwlekać chwilę swego wkroczenia znalazła się wówczas w wojnie z Niemcami i w gronie Narodów Zjednoczonych. Korzystając z ich pomocy przedewszystkiem jednak sama swem ogromnem przygotowaniem do wojny, napięciem wysiłku, umiejętnością kierownictwa, męstwem wojsk, żelazną wytrwałością wykuła sobie zwycięskie odparcie wroga. Zarazem zaś wzmogło się ogromnie stanowisko polityczne Rosji w świecie.

* * *

Podjąwszy olbrzymi wysiłek na podstawie ścisłych rachub, zapowiadających wielkie korzyści, Rosja Sowiecka przystępuje obecnie, oczywi-

ście do urzeczywistnienia tych rachub.

Zbieranie owoców jest rzeczą zrozumiałą, ale zbieranie ich na cudzym połu jest mniej zrozumiałe.

Porównajmy.

Wielka Brytania i St. Zj. Ameryki przyczyniły się do zwycięstwa nad Niemcami, rozprawiając się jednocześnie z Japonją, w stosunku wyższym niż Rosja. Mimo to w art. I Karty Atlantyckiej p. Churchill i Prezydent Roosevelt powiedzieli: — Their countries seek no aggrandizement, territorial or other. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone sądzą iż korzyścią należną ich narodom za wysiłek w dziejach dotychczas nie widziany, jest zgniecenie zła i stworzenie w świecie lepszych podstaw dla wolności ludzi i narodów, dla bezpieczeństwa i pokoju, dla władania prawa, dla dobrobytu powszechnego, gdyż to właśnie narody ich uważają za cel warty tego wysiłku.

Nie widać wcale by pojęcia Rosji Sowieckiej o celach i korzyściach zwycięskiej wojny były już nie takie same ale choćby w przybliżeniu po-

dobnie do pojęć Wielkiej Brytanji i St. Zj. Ameryki, a taksamo ogółu Narodów Zjednoczonych.

Wydawałoby się, że Rosja Sowiecka znajdzie dostateczną korzyść w pewnej mierze już w tem, że przy pomocy innych Narodów Zjednoczonych uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa, a w jeszcze większej mierze znajdzie ją w poważnym swym udziale w ogólnych ulepszeniach w świecie. Przestrzeni jej, zaiste, nie brakuje. A pokojowa współpraca z światem może jej dać, jak mało któremu innemu krajowi, nicobliczalne wprost wzmoczenie się.

Dążąc do zgoła innych korzyści z wojny Rosja Sowiecka postępuje rażąco zarówno w tem, co robi, jak w tem, jak to robi.

Rażące bowiem jest to, że Rosja Sowiecka, poszukując korzyści per fas et nefas w zaborach, odbiera wolność innym narodom, między niemi także i takim, jak Polska, której wkład w tę wojnę jest powszechnie wysoko ceniony.

Rażące jest to, że Rosja sowiecka, kładąc rękę na niepodległości i wol-

ności dziesięciu narodów Europy Środkowo-Wschodniej ze 100 milionami ludności, zmienia wygląd tej części Europy w sposób złowrogi.

Rażące jest również to, że Rosja Sowiecka, podpisując umowy i zobowiązania gdy to jej jest potrzebne, jak Karta Atlantycka, jak układ z Polską, jak układ z Wielką Brytanią, następnie gwałci je wszystkie.

Jest to nieszczęściem nietylko dla krajów bezpośrednio dotkniętych zaborczością Rosji Sowieckiej, ale i dla wszystkich innych. Uczciwe dążenia naprawy po tej wojnie są bowiem zwichnięte i zmiany są nie na lepsze lecz na gorsze. Musi to mieć bardzo złe następstwa, taksamo nieuchronne, jak w podobnych działaniach niedawnych innych państw zaborczych.

A to jeszcze nie kres wędrówki. Co będzie na Dalekim Wschodzie? Ci, którzy sądzą, że ustępstwa w Europie na rzecz Rosji zmniejszą jej roszczenia w Azji, zapominają o prawdzie, może nie zawsze fizjologicznej lecz napewno politycznej, że l'appetit vient en mangeant.



UCZESTNICZKI POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, UWOLNIONE PRZEZ ARMJĘ POLSKĄ Z OBOZÓW, W KTÓRYCH BYŁY ZAMKNIĘTE

JOZEF CZAPSKI

POŁUDNIOWA IDYLLA

Wypuszczeni z za drutów 2 września 1941 roku z pod Wołody, po siedmiu dniach podróży w towarowych wagonach dojeżdżamy wszyscy więźniowie z obozu griażowieckiego — do Tocka, o zmierzchu.

Tock, mała stacyjka na linii Kujbyszew - Czkałow, idziemy brnąc w piachu, już w nocy, parę kilometrów piśszu i dochodzimy do obozu letniego armii sowieckiej, a dawniej carskich kozaków orenburskich w naszym stepie.

Namioty, trochę letnich domków skleconych z cienkich desek, bez pieców to wszystko. Zmęczeni podróżą, oszołomieni wrażeniami po dwu latach drutów, nie uświadamiamy sobie jeszcze zupełnie ani warunków, które nas czekają, ani trudności, związanych z organizacją armii.

Po chłodnym i już dżdżystym Griażowcu — słońce południowe, w pierwszych dniach naszego pobytu w Tocku, skwarne słońce nad spalonym przez lato upalne, brązowym stepem, stwarza nam złudzenie czekającej nas południowej idylli.

Ale uroczą jesień południową, po paru dniach się skończyła, nactały chłody i jak zwykle "najstarsi ludzie nie pamiętali", by chłody w tych okolicach nadchodziły tak weześnie. Rozpadały się po stepie te same, co w Griażowcu, zimne ulewy, a po paru tygodniach zaledwie, śniegi połączone z nieustającym prawie wichrem stepowym. Bywały jeszcze krótkie okresy słoneczne, czystego, bezchmurnego nieba, rudy step wówczas wysychał, ale noce były już mroźne. Do nielicznych drewnianych zabudowań, do niewystarczającej ilości namiotów, na goły step spływali codzienne setkami ludzie z Komi SSR., z pod Archangielska i Workuty, z Koli, z całej Syberji, z Karagandy.

Nasz transport griażowiecki stanowiącą pierwszą tocką kadrę oficerską. Tam powstał Ośrodek Organizacyjny armii i 6ta Dywizja.

Od pierwszej chwili ogarnął wszystkich wir roboty, tysiące spraw, nie było mowy o jakimś dystansie do pracy, w której się tkwiło od rana do nocy. Przyprowadzano ze stacji codzeń pięćdziesięciu — dwustu — pięćuset, pamiętam, że jednego dnia przybyło tysiąc pięćset żołnierzy, byłych skazańców. I cóż to byli za ludzie, w łachmanach, bez butów, wyniszczeni obozami pracy, głodem, miesięczną czy parotygodniową głodową podróżą.

Ci ludzie nie wiedzieli jeszcze nic, poza tem, że ich wypuszczono z obozów do wojska. Pierwszy materiał in-

formacyjny o sytuacji ogólnej kazano mi podawać przybywającym, jak również wskazówki, jak należy się zachować. Sam jednak wówczas wiedziałem bardzo niewiele.

Pamiętam takie zebranie na śniegiem przyprószonym stepie z nowo przybyłymi. Słyszeli wówczas pierwszy raz o walkach naszych wojsk, toczonych we Francji, o Narwiku, o roli, którą odegrali lotnicy polscy w bitwie o Londyn. Dziś jesteśmy "zblazowani", ale wówczas te wieści wstrząsały wprost ludźmi, którzy od dwóch lat byli odcięci od niezafałszowanych wieści o Polsce i karmieni wyłącznie konsekwentną, szkalującą Polskę, jak zresztą i Anglię, propagandą. Kończyłem każde przemówienie akcentem zgody, stwierdzeniem sojuszu z Rosją Sowiecką. Żądałem, z rozkazu moich przełożonych, zapomniała przeszłości, łączenia się z Sowietami w jednym wysiłku zbrojnym przeciwko wspólnemu najeźdźcy. Ten ustęp był zawsze przyjmowany z trudem, ale poczucie dyscypliny wobec rozkazów władz polskich było wówczas bardzo silne, autorytet tej władzy bezapelacyjny.

Po paru dniach zaledwie wykryształizowała się rola główna "Biura Opieki", komórki, w której pracowałem. Przeznaczono dla nas budkę, skleconą z cienkich desek, od pierwszej chwili długi ogon zapełniał to nasze biuro i jeszcze się ciągnął na deszczu, na dworze, wytrwale aż do nocy.

Trzy sprawy górowały nad wszystkimi.

Tych ludzi wynędzniałych, wymarznionych, z mokremi nogami owiniętymi w szmaty, w nasiąkniętych wodą, porwanych fufajkach, obchodziło w pierwszym rzędzie uwolnienie, ratowanie, sprowadzenie zatrzymanych jeszcze w obozach kolegów.

Drugą sprawą było odnalezienie rodzin na bezmiernych przestrzeniach Rosji, dokąd przeważnie były wywiezione, przesłanie im wieści o sobie.

Spisywaliśmy całymi dniami listy nazwisk, zeznania przybywających o zatrzymanych kolegach, ewentualnie adresy rodzin. Listy te przesyłaliśmy do Sztabu, do Ambasady, która znów była zasypana tysiącami listów od zesłanych rodzin z terenu sowieckiego.

Sztab i Ambasada reklamowały u władz sowieckich coraz dalszych jeńców i więźniów na podstawie tych list, przesyłanych z różnych stron, między innymi i od nas, z Tocka.

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at

806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-1168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription
Monthly 80 cents
Half yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

Wiadomości o rodzinach przybywających skąpo i nie zaraz. Pierwsze listy nazwisk rodzin z Turkiestanu, Kazakstanu wywieszaliśmy na zewnątrz. Stanianie naszej budki i, niezależnie od pogody zawsze stali przed tą listą ludzie, czytując się pilnie w zamoczone spisy, szukający nazwiska swych bliskich.

Sprawą trzecią było dopytywanie się każdego, który do nas przychodził, czy nie słyszał nic, czy nie wie nic, o jeńcach ze Starobielska Nr. 1. Kozielska Nr. 1 i Ostaszkowa. Wtedy wierzyliśmy jeszcze, że zjechać do nas powinni z chwili na chwilę i każdy dzień w którym nie tylko, że nie przybywali, ale nikt z dziesiątków przybywających z całej Rosji do naszego biura kolegów, nie był w stanie o nich nic powiedzieć, wydawał się nam niepojęty.

Wymordowania kilkunastu tysięcy jeńców wojennych nie dopuszczaliśmy wówczas jeszcze do myśli. Z uporem pytaliśmy się o nich codziennie, każdego. Pierwszych pogłosek o ich częściowej likwidacji (zatopienie na Morzu Białym) nie braliśmy dostatecznie pod uwagę.

Pracę w Biurze Opieki przecięły mi dwa krótkie pobyty w szpitalu.

"Dlaczego właśnie szpital utkwiał mi w pamięci ostrzej, dotkliwiej, jak praca w naszym "biurze"? Miałem przecież naokoło siebie tych samych polskich żołnierzy ze wszystkich krańców Rosji, ale było ich mniej, byłem bezczynny, więc mogłem wniknąć w ich opowiadania uważniej, przeżywać je głębiej, a przede wszystkim zrobić z ich opowiadań trochę notatek na gorąco.

Pierwszy raz trafiłem tam natychmiast po przyjeździe, kiedy szpital był jeszcze całkowicie w rękach sowieckich, za drugim zastałem już na-

sze kierownictwo i przeważnie polski personel.

Budynek nad rzeczką, jeden drewniany względnie duży, i parę podsznurek wybudowanych domeczków z jedną czy dwiema izdebkami.

Przez parę godzin czekałem przed szpitalem, by mnie przyjęto, od pierwszej chwili było bardzo wielkie przepełnienie. Świeciło jeszcze piękne, jesienne słońce. Siedziałem na drewnianych schodkach z dużą gorączką. Podeszedł do mnie młody chłopak, prawie dziecko, chudy bardzo, w obcisłym czarnym chałacie szpitalnym. Za dużą głową, na długiej dziecinnej szyi jak makówka na łodydze. Zaczął mi opowiadać swoje dzieje, z tą całkowitą ufnością, naturalną, ale zawsze wzruszającą, która istniała najczęściej, kiedy w tamtych latach, w Rosji Polak spotykał się z Polakiem.

Pochodził z Wilna. Zesłany z matką i z małą siostrzyczką do Kazachstanu, uciekł stamtąd z zamiarem dołączenia się do Wilna z powrotem. Udało mu się dotrzeć aż do granicy polsko sowieckiej. Niby jeden jeszcze "bezprizornyj". Granica ta formalnie przez Sowiety przekreślona była, aż do wojny niemiecko-sowieckiej wciąż jeszcze starannie strzeżona. Tam go złapali.

We wrześniu 40go roku, o ile datę dobrze pamiętam, wydano rozkaz "o miekkich krażach i huligaństwie", przewinienia tego rodzaju miały być karane odtąd natychmiast czemś w rodzaju sądów doraźnych. Wystarczył jeden świadek. Karano zesłaniem paroletniem na ciężkie roboty. Złapany na granicy Wilnianin został na podstawie tego paragrafu skazany na parę lat i zesłany do Kujbyszewa.

Rząd sowiecki otrzymał dzięki tej ustawie wiele setek tysięcy darmowych robotników, których mu było tak potrzeba, i takim właśnie robotnikiem wybudował i uruchomił nowe fabryki wojenne w Kujbyszewie. Te ogromne zakłady ciągną się dziesiątki kilometrów wzdłuż toru kolejowego od Kujbyszewa w kierunku Czkałowa. Według obliczeń chłopaka, w fabrykach kujbyszewskich w okresie jego pobytu było 500 do 7000 tysięcy robotników, właśnie tak pobranych. On pracował tam niecały rok w głodnych, więziennych warunkach i został teraz wypuszczony do wojska. Pracował za drutami, sam wśród skazanych z całego Związku Sowieckiego złodziejasków, wśród winnych i niewinnych, Rosjan, Czuwaszów, Gruzinów czy Uzbeków, oderwany od rodziny, o której nie wiedział nic, od kraju, w najbardziej chłonnym i plastycznym okresie życia. Już mówił bardzo zepsutym polskim językiem, natkanym rusycyzmami, ale

psychicznie, czuć to było z każdego gestu, zachował namiętnie nietknięte poczucie swojej polskości i przytem dżiczinną, serdeczną, delikatność i subtelność odruchów. Oddałem mu z plecaka chleb, którego nie potrzebo- wałem.

"Pan mi oddaje chleb?"

Przypominam sobie tę niewspółmierną wdzięczność. Pewno był głodny, ale nie o to chodziło; to było wzruszenie tego dziecka wobec zwyczajnego, przyjaznego gestu, po roku więzienia w obcych, brutalnych warunkach, wśród obcych zawsze głodnych ludzi. Podawał się za siedemnastolatka, by móc służyć w wojsku. Miał chyba nie więcej, niż szesnaście, i był bardzo wynędzniały.

Parę miesięcy później jechałem do Kujbyszewa. W ciepłym, zapchanym przedziale "miankiego" wagonu. Jechało nas czterech tylko. Podjeżdżaliśmy do Kujbyszewa nad ranem, na kanapce naprzecwko mnie jechał starszy człowiek w mundurze, miał znaczek na piersi, który mają prawo nosić tylko wieloletni pracownicy dawnej Czerwczajki. Obok niego siedział młody "lejtenant" z konopiastą grzywą, trochę dziecinną, nieforemną, dobroduszną twarzą. Jechał na front. Rozmawiał ze starym czekistą z widocznym szacunkiem, jaki należy się bohaterowi historycznej już rewolucji. Mówił dość nerwowo i skromnie zarazem. Stary pouczał go łaskawie i przyjaźnie.

Takżeśmy jechali przez zaśnieżony step, a potem przed Kujbyszewem przez kilometry i kilometry zabudowań, gmachy fabryczne, ogromne hale, hangary setki niskich baraków pod szarym niebem, przysypanych metrami pulchnego śniegu i oddzielonych od toru całym wałem wysokich zasieków drutów kolezastych z wybudowanymi gęsto, dobrze mi znamymi ze Starobielska i Grjazowca "wyżkami". Były to budki na wysokich czterech słupach, na których stali "bójcy" z karabinami. Z ciepłego wagonu patrzyłem, wycierając potniające szyby na te zabudowania, na niskie, długie baraki, jakby przewiezione ze Starobielska, na potężne słupy z czapkami śniegu, połączone gęstymi szlakami drutów kolezastych.

Młody lejtnant przerwał rozmowę z czekistą i także rzucił okiem na budowę za drutem.

"Wot eto wsio zdiełała Sowiekaja Włast" — powiedział staremu czekiście z dumą, trochę nieśmiało, trochę patetycznie.

Słuchałem tych słów sympatycznego lejtnanta, który jak wszyscy prawie w Sowietach mówił zdaniem, żywcem wyjętymi z gazet sowieckich i przypominał mi się chudy chłopak przed szpitalem tockim, z głową jak makówka na chudej szyi, skazany za to, że się przekradał przez całą

Rosję do rodzinnego Wilna spowrotem, złapany na dawnej polskiej granicy.

W szpitalu umieszczono mnie w jednym z małych domków. Żaden lekarz czy siostra nam czasu nie zabierali. Były trzy diety do wyboru: pierwsza, mleczna, trzy razy zupa z mleka ze szczyptą rozgotowanego ryżu, druga: trzy razy zupa z wody ze szczyptą kaszy, albo trzecia: normalna zupa żołnierska. Jako leczenie, to było wszystko. Leżałem z paru szeregowymi, wszyscy byli więzieni w Wilejce, pędzeni do Borysowa, więzieni w Riazaniu, skąd zostali wypuszczeni do wojska w dwa dni po nas z Griazowca.

W szpitalu było ich paru. Czy byli chorzy, może tylko do ostateczności wycieńczeni.

Przegadaliśmy ze sobą parę dni, wysiadując długie godziny na przyłbie szpitalnego domku, w piękna jeszcze pogodę. Najwięcej opowiadał P. trzydziestoletni rolnik spod Świra, był krepny, miał ciężką głowę, puszystą od nisko ostrzyżonych miękkich blond włosów, opowiadał ściśle, bez śladu "literatury", bez akcentów i bez gestów. Resztę dopowiadali, dopełniali inni. Wszyscy robili wrażenie ludzi prostych, "bez zdrady" nie zdolnych do blagi i efekciarstwa. Z samego stylu opowiadania zgadłbym, że są z Wileńszczyzny. W więzieniu wileńskim gdzie za polskich czasów umieszczano 200 do 240 więźniów, siedziało ich za rządów sowieckich aż do dwóch tysięcy, wziętych za najróżniejsze przewinienia, od należenia do "Ozonu" do tworzenia P. O. W. Zresztą każdy pretekst był dobry żeby zamykać "niepewny" element. Paru z moich rozmówców spędziło tam rok i więcej w niezmiernej ciasnocie. Były cele, gdzie ludzie byli tak naphani, że część ich musiała stać, siadano na zmianę. Cele w największe mrozy nieopalone, z wybitymi łuczkami były tak duszne z powodu tłoku, że więźniowie rozbięli się prawie do naga, nie było czem oddychać.*

W tejże Wilejce skazano między innymi na śmierć grupę ludzi z Oszmiańskiego, która miała rewolwery i stację nadawczą. Wystrzelano ich na dwa dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej.

Zaraz po rozpoczęciu działań wojennych zaczęto więźniów partiami wyprowadzać i pędzić pieszo na Borysów.

Słuchałem teraz tylko dokładnie z szczegółami, nazwiskami, to samo

*Wilejka została opisana dokładnie w niewydanej pracy Dra Wieliczki na podstawie bezpośrednich informacji 174 więźniów, z których połowa brała udział w ewakuacji o której napisać za chwilę.

co mi opowiadali inni w pośpiechu, spotykani już w drodze żołnierze z równoległych transportów. To samo pędzenie ludzi, jak z Jarmolińca, jak z Brodów, te same sceny paniki i "bezinteresownych" okrucieństw.

Wśród nazwisk zamordowanych po drodze P. nazwał mi wybitnego adwokata wileńskiego, sjonistę Czernichowa z Wilna, który bronił wielokrotnie komunistów na procesach politycznych. Wówczas również zabity został Paweł Marczewski, nauczyciel ze Świru, w obecności syna, który go słabnącego prowadził.*

Strzelano po drodze do tych co już iść nie mieli sił i dla pewności dokłuwano. Tych co wędrowkę Wilejka-Borysów przeżyli wywieziono z Borysowa w zaplombowanych wagonach, upchanych tak, że musieli w nich stać do Riazania, gdzie ich znów trzymano, w nielepším niż Wilejka więzieniu. Stamtąd prosto trafili do wojska.

Wśród moich rozmówców dodawał jeszcze fakty i detale chudy, wymierzony urzędnik skarbowy K., — również z Wileńszczyzny. Był pędzony z inną partią, cytował znów nowe nazwiska. W notatniku, gdzie spisywałem je na gorąco, odnajduję nazwisko porucznika Lipińskiego, nauczyciela, prawdopodobnie rozstrzelanego, bo znikł po drodze, studenta Kroskiego, katowanego ze specjalną pasją w więzieniu, który znikł w chwili wyruszenia partii z Wilejki, mówiono również, że został rozstrzelany.

Cóż więcej pamiętam z pierwszego pobytu w szpitalu tockim?

Opowiadania chudego chłopca z Wilna i więźniów wileńskich zatarły mi resztę wspomnień, to wszystko, co znajduję w pamięci, a także w notatkach pisanych jeszcze w Rosji z tych dni.

Drugi raz trafiłem do tego samego szpitala parę tygodni później. Położono mnie na zmianę w dużym budynku drewnianym. Na dworze śnieg, pieca ani śladu, chłód przenikliwy. Prześcieradło zawieszono przy wielkim oknie, wieje jak żagiel, taki wiatr idzie od stepu. Wszyscy chorzy leżą pod parą kocami, szcękając

zębami. Ręka wysunięta na chwilę, już marznie.

Gmach zapełniony ciężko chorymi. W dniu mego przyjazdu umarło 3ch. Wstyd miejsce zajmować z grypą, czy lekkim bronchitem. Lekarstw prawie żadnych, obsługa nadzwyczaj wieliczka. Od czterech dni niema wogóle światła, nocą iść do zalanego wycnodka na drugim końcu gmachu, to cała wyprawa, z za drzwi słysząc krzyki i jęki, uporcezywe wołanie:

"Sanitarjusz... sanitarjusz..." — bez odpowiedzi.

Na lewo ode mnie chory żołnierz powtrza ciągle, to samo:

"Czy ja więzień, czy ja wolny, czy mnie zabiją, co ze mną zrobią" — szkliste, zielonkawe oczy, przerażona, zmięta twarz, biedny, zdeptany człowiek z Równego.

"Czy zobaczę jeszcze żonę i dziecko, czy zobaczę Równę?" — powtarza w kółko. Nie można go uspokoić, ciągle podejrzenie, że go oszukujemy, że bolszewicy są tuż, że go zabiją.

Na tej samej sali plutonowy, uprzejmy Żyd. Przeszedł wszystkie obozy, leży z wysoką gorączką, całą noc nieprzytomny, jęczy i krzyczy. Na prawo odemnie bardzo miły żołnierz leży milczy, z cichą twarzą, bez słowa skargi; leży tu już parę tygodni, ma ciężkie bóle kości, bardzo spuchnięte nogi, lekarz podejrzewa gruźlicę. Spuchnięte nogi, grożąca amputacja i ta twarz spokojna, dzwonne zgodzona z losem, nagle przypominała mi wówczas folwarcznego chorego z "Cokolwiek się zdarz" Żeromskiego. Ten młody żołnierz zawiany na granicę Azji, błąd i milcząc z przedwczesnie bruzdami przeoraną twarzą to przecie brat parobka folwarcznego nad którego łóżkiem w jakimś kieleckim szpitalu kołata przy każdym poruszeniu czarna deszczółka z napisem "caries tuberculosa". Memu sąsiadowi może również jak tamtemu "wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia" otworzył zaczarowaną kryjówkę na siedem zamków w jego duszy zamkniętą, w której się kryje "słodka konieczność i największa mądrość". Może dlatego ma twarz tak pogodną.

Na tej samej sali leży jeszcze Poznaniak, były nauczyciel z terenów wschodnich. Długo tkwił na stanowisku, zesłany dopiero parę miesięcy temu, opowiada, jak najbardziej komunistujące wsi ukraińskie pisały na kartkach podczas wyborów "My chcemy Polszy!".

Te wieści z okupacji dla mnie, który od września 1939 przesiedziałem w obozach, są prawie równie nowe jak opowieści o walkach nad Londynem czy w Narwiku. Były one tak samo starannie przed nami ukrywane i tylko częściowo rozszyfrowywa-

liśmy je w listach, które do nas dochodziły.

Doktor U., który się nami opiekuję, był we Lwowie do ostanich czasów, nie był zaaresztowany i dopiero ostatnio sam ze Lwowa uciekł. Od niego dowiaduję się o scenkach z życia "sowieckiego" Lwowa.

Widział, między innymi, jak nakręcano film antypolski na ulicy. Pozawieszano dawne szyldy, stała dawna budka z papierosami. Ustawiono ogromną kolejkę po cukier i gruby aktor sowiecki w mundurze oficera polskiego, rozpychając wszystkich wynosił bez kolejki pod obiektywem aparatów kinowych, wielką pakę cukru. Na drugim rogu teje ulicy była już sowiecka dekoracja: "Gastronomia" króciutka kolejka, uśmiechy i wszyscy wychodzą z pięknymi zawiniętymi paczkami. Doktor przytem opowiadał, jak do tej "Gastronomii" kolejki stały całymi nocami, jak się w tem specjalizowali chłopcy, którzy stali całe noce "w zastępstwie" biorąc po osiem-dziesięć rubli za noc.

Na sali, zastonięte prześcierałem okno przepuszcza chłodne światło śniegiem pokrytego stepu. Na dworze coraz zimniej, chorych znoszą coraz więcej. Już niema łóżek.

Na ziemi, w chłodzie, na przeciągu kładą szeregowego Ablamowicza, syna majora, z dyteryyczną anginą. Opowiada sąsiadowi szeptem, prawie gwarą kaszubską o Iwdielu i Komi. Przy nim, również na ziemi, ktoś drugi, twarz na przykrytą kocem, mówi monotonnym głosem, bez modulacji:

"Bo ja jestem z Dubna, zostawiłem tam dwoje dzieci bez żadnej opieki, bo żona mi zmarła."

"Bez żadnej?" — pyta sąsiad.

"Tak, bez żadnej. Bo to było tak: zaaresztowali mnie zaraz, jak weszli, byłem urzędnikiem w P. K. U. Trzymali mnie pięć dni w piwnicy, nie dali mi przez pięć dni nic do jedzenia, ani do picia, nawet wody, i wypuścili. Kiedy wróciłem do domu, to nie chciałem, żeby żona wiedziała, jak mnie bito, a byłem cały siny, a że musiałem się przebrać, więc powiedziałem jej — wyjdź. A ona "Nie. Przy mnie się przebieraj". To ja znowu, żeby wyszła, a ona "Nie i nie". Więc, jak ja zdjąłem koszulę i ona zobaczyła, że ja cały siny to ona upadła na ziemię, i miała atak sercowy pierwszy. Przecież ja byłem skromny urzędnik, ja do żadnej partji nawet nie należałem. Moja żona w te dni nagle posiwała. Połowę głowy miała białych włosów. Potem umarła.

Ja miałem świnie i trzy worki mąki. To ja dla dzicci zbierałem. Ale po pięciu miesiącach bolszewicy wzięli mnie znowu, a wtedy wypędzili mo-

*Natrafiam w "Wilejce" Dr. Wieliczki na szczegóły tego morderstwa: "Nauczyciel z powiatu Święciańskiego, Piotr Marczewski, któremu w marszu pomagał syn. W pewnym momencie podbiegł do Marczewskiego konwojent, kazał synowi opuścić ojca, a kiedy on nie usłuchał, NKW Dysta strzelił bez namysłu Marczewskiemu w głowę, zabijając go na miejscu, a syna popychając bagnietem zmusił do porzucenia brojącego krwią ciała".

je dzieci z domu. Po dwóch tygodniach przyniosła mi moja córka do więzienia, ona miała wtedy 14 lat i wszystko w domu za matkę robiła, kupną bułkę kawałek kupnej kiełbasy, więc wtedy dzieci już nic nie miały.

I te pierwsze dni spędzone w więzieniu. Ja nie byłem nerwowy, ale stałem się nerwowy. Co ja widziałem, co ja widziałem. W piwnicy w Dubnie trzymali pojedynczo, katowali, mordowali. Przechodząc od klucza widziałem jednego żołnierza co do nich strzelał, jak oni zajmowali miasto. Oni tam trzymali go, a był październik, już zimno, w jednej koszuli bez gaci i bez spodni, i ręce miał w tył związane drutem. On ciągle chodził. Nie, on nie chodził, ale tak skakał na palcach, widać na piętach mógł następować, bo go po piętach bili i ciągle się trząsał — cały, cały był pobity i już nie mógł mówić, bo miał pewno język wykręcony i wszystkie zęby wybite, tylko tak był (chory naśladowuje gardłowe wycie które teraz przenika do wszystkich kątów chłodnej sali szpitalnej).

Widziałem jak mu wnieśli kubek kawy na śniadanie i zamiast mu dać do wypicia, chlusnęli mu kawą w twarz. I ciągle w tym gmachu bili w blachę, bo takie były wycia, żeby nie było tego wycia słychać...”

* * *

Na takich rozmowach mijają mi dnie monotonne, marznięcia pod trzema kocami, dnie które są przeciw odprężeniem nerwów, odpoczynkiem prawie błogim po natłoku spraw i ludzi w Biurze Opieki.

Po paru dniach przeniesiono mnie przypadkowo, czy przez pomyłkę, do jednego z małych domków, w którym był piec. Leżeli tam wyłącznie prątkujący gruźlicy. Sienniki i poduszki wypchane były sianem z wyschłych badyli stepowych. Miałem wrażenie, że leżę na drutach i drzazgach, ale nareszcie był piec i było zupełnie ciepło.

Zaledwie przyszedłem do tego domku, (dwa pokoiki połączone) umarł kapral. Pytam o niego kilka minut przed śmiercią:

“Czy też chory na płuca?”

“On już wcale płuc nie ma” — odpowiadają gruźlicy z humorem i chwilę potem:

“A wiecie, on już nie żyje.”

Jego sąsiad, z twarzą kadaweryczną, wynędniał kapral W. bez ręki, z wielkimi wodnistymi oczami w głębokich oczodołach, wystającymi kośćcami policzkowymi, i ze skórą jak pergamin na policzkach zapadniętych, zaraz wyciąga z pod poduszki umarłego papierosy. Minuty chyba nie przeszło po skonstatowaniu śmierci sąsiada, kapral dzieli papierosy między nami.

Nikt nie przyjął, i kapral sobie za biera wszystko. Irytuje się:

“Dziwni ludzie, sentymentalne kotki. Co się rozczulać. Żył i umarł. Tak z każdym. A dlaczego papierosa nie wypalić?”

I wynoszą pod prześcieradłem do kostnicy szkieletowate, żółte zwłoki nieznanego kaprala. Tego dnia zmarło znowu trzech.

Skorzystałem z pierwszego polepszenia, gorączka mi spadła, żeby szpital opuścić.

W ROCZNICĘ ZDOBYCIA MONTE CASSINO



SKŁADAMY HOŁD POLEGŁYM I ŻYWIYM BOHATEROM TEJ BITWY

ALEKSANDER BREGMAN (Dla "Tygodnika Polskiego" z San Francisco)

D W A Ś W I A T Y

(KARTKI Z NOTATNIKA)

San Francisco, 20 maja, 1945.

Konferencja w San Francisco nazywa się oficjalnie: "Konferencja Zjednoczonych Narodów w sprawie organizacji międzynarodowej". Tłumacząc to na język dyplomatyczny monaby powiedzieć, że jest to konferencja dla zorganizowania współpracy między narodami zachodu a Rosją. Taki jest w gruncie rzeczy jej głębszy sens. Jej znaczenie na tym głównie polega, że jest to pierwsza próba współdziałania, pierwsza konfrontacja dwu tak obcych sobie światów — świata wschodniego totalizmu i świata zachodniej demokracji. Można tu dyskutować o dziesiątkach zagadnień, ale problem istnieje tylko jeden: czy te dwa światy mogą znaleźć język wspólny, czy potrafią współżyć ze sobą, czy też skazane są na to by z sobą rywalizować i przygotowywać się do próby sił.

Pragnienie wciągnięcia Rosji do współpracy zrodziło tę konferencję. Ostatecznie wszyscy niemal zdawali sobie sprawę z tego, że tworzenie organizacji międzynarodowej na tych fundamentach jakie zostały rzucone w Dumbarton Oaks niema wielkiego sensu, że nie będzie to organizacja zdolna do zapewnienia w świecie pokoju i bezpieczeństwa, że jeżeliby miała ona zasługiwać na swe miano to musiałaby wyglądać zupełnie inaczej. Ale jednocześnie rozumiano, że trzeba wybrać: albo organizacja prawdziwa, jednakże zapewne bez Rosji, albo fikcja pozbawiona wartości, ale przynajmniej dająca okazję wciągnięcia Sowieców do jakiejś formy współpracy. Bez wahania wybrano tą drugą ewentualność.

Od samego początku wyczuwało się tu zdecydowaną chęć uczynienia wszystkiego by Rosjan zachęcić do współdziałania, przełamać ich nieufność, wykazać im dobrą wolę innych. Gdyby zależało od innych, nie było by żadnych "prób sił" ani niczego w tym rodzaju. Nikomu nie śniło się tworzyć jakiegось antysowieckiego bloku. Istniała wielka, przesadnie wielka gotowość do ustępstw. Zresztą czyż trzeba o tym mówić? — Niezaproszenie rządu polskiego jest najbardziej wymownym symbolem ducha w którym nastąpiło zwołanie tej konferencji. Był to duch monachij-ski.

Tak wyglądała sytuacja gdy zbierała się konferencja w San Francisco, jeśli chodzi o świat zachodni.

A Rosja? Z czym przybył Mołotow do San Francisco? Jaki był stosunek Rosji do tej próby współpracy?

NIEUFNOŚĆ, PODEJRZLIWOŚĆ, TAJEMNICZOŚĆ

Zacząło się od tego, że w gruncie rzeczy Moskwa wcale tej konferencji sobie nie życzyła. W Jalcie gdy Roosevelt zaczął mówić o tej sprawie, Stalin z zdziwieniem zapytał: "Konferencja? Po jakie лихо?" Stał na stanowisku, że "niema nic do załatwienia", że sprawę organizacji winny załatwić między sobą wielkie mocarstwa i że małych narodów nie należy pytać o zdanie. Niechętnie więc zgodził się na to zbiegowisko. Potym wyraźnie próbował całą konferencję "spławić" wyznaczając delegatem nie Mołotowa, lecz Gromykę i mając nadzieję, że w tym wypadku inni ministrowie również nie pojedają, wobec czego konferencja nie wywoła w świecie żadnego zainteresowania.

Gdy wypadki potoczyły się inaczej i jasne się stało że konferencja będzie ważkim wydarzeniem nawet bez Mołotowa, Stalin zmienił zdanie. Skoro nie można konferencji stoperdować, trzeba ją wykorzystać dla naszych celów — powiedziała sobie Moskwa. Przytym wobec śmierci Roosevelta trzeba było zorientować się w nowych tendencjach polityki amerykańskiej. I Mołotow poleciał do San Francisco.

Ale oczywiście zasadnicze nastawienie nie uległo zmianie. Rosja pozostała nieufna, podejrzliwa, niechętna w stosunku do samej idei konferencji.

Wyczuwało się to na każdym kroku. To nagłe zetknięcie się dwu obcych światów obfitowało w momenty osobliwe, często groteskowe. Zaczęło się od przyjazdu owego słynnego statku sowieckiego, który tajemnicą osłonięty zakotwiczył się w porcie San Francisco. Wkrótce miasto szalało od plotek. Opowiadano niestworzone historie o przyjęciach, jakie delegacja sowiecka wydawać będzie na jego pokładzie i o... delegacjach ukraińskiej, białoruskiej, a nawet lubelskiej ukrytej na tym statku. Nic z tego wszystkiego nie sprawdzilo się. Przyjęć na statku nie było, Ukraińcy i Białorusini przyjeleci samolotem dwa tygodnie później, a lubliniaków nie sprowadzono nawet w charakterze dziennikarzy. Widocznie nie było nikogo, kogoby można bezpiecznie produkować zagrani-

ca. Faktem jest, że w charakterze jedyne go reprezentanta Lublina występował Abraham Penzik, rychło doszczętnie ośmieszony przydomkiem "Demi-Tass", jaki doń przylgnął odkąd ujawniono, że lubelski "Pol-press" figuruje w Waszyngtonie, jako filja sowieckiej agencji Tass.

Na statku zaś były poprostu aparaty radiowe dla połączeń z Moskwą. Inne delegacje ufały amerykańskiemu towarzystwom radiotelegraficznym, Rosjanie — nie powierzają swych szyfrów obcom. Co może ważniejsze, dzięki statkowi duża część personelu delegacji uniknęła kontaktu ze "zgniłym zachodem"...

MUR

Niewidzialny, ale nieprzebyty mur odrazu oddzielił delegację rosyjską od reszty delegatów i od ludności miejscowej. Wzniosły go surowe rozkazy własne i wszystkie próby gospodarzy dokonania wylomu w tym murze okazały się daremne. Niepodobniestwem było rozmawiać z kimkolwiek z Rosjan, nawet jeżeli mieszkali w mieście; mieli wszystko własne i nie mieszały się z innymi. Na ulicy Amerykanie znający rosyjski usiłowali nawiązać rozmowy z oficerami rosyjskimi, których z niewiadomo jakich powodów przyjechało mnóstwo, choć inne delegacje bynajmniej wojskowych nie przywiozły. Napróżno: Rosjanie, którzy nigdy, rzecz ciekawa — nie chodzili po ulicy w pojedynkę, nie odpowiadali na te przyjazne zaczepki. Dziennikarze nadaremnie polowali na wywiady i "storics" o Rosjanach. Nie sposób nawet było dowiedzieć się czegoś o poszczególnych członkach delegacji. Gdy ukazała się książeczka z biografiami poszczególnych delegatów, były w niej trzy białe kartki: za wyjątkiem Mołotowa i Gromyki, nie było w niej ani jednej biografii sowieckiej.

Mołotow nie ruszał się nigdzie bez eskorty. Wprawdzie pod koniec uległa ona pewnej redukcji ale nuta nieufności do świata zewnętrznego została podkreślona. I pod tym względem różnica pomiędzy dyktaturą wschodnią, a demokracją zachodnią znalazła uwypuklenie. Eden i Stettinius chodzili bez eskorty.

Jeśli więc chodzi o poznanie się i zbliżenie między zachodem, a Rosją w sensie czysto ludzkim, konferencja nie dała żadnych rezultatów. Niepodobna powiedzieć jakie są wrażenia Rosjan z konferencji i z

zetknięcia się z życiem amerykańskim. Rzecz jasna obserwowali wszystko uważnie i starannie. Ale jakie wnioski z tych obserwacji wyciągnęli? Jak zareagowali na fantastyczny rozmach tego kraju, o którym uczono ich, że nie umie rozwiązać żadnego problemu społecznego czy gospodarczego? Co sądzą o potęgze przemysłowej Ameryki? O stoczniach Kaisera w ni.prawdopodobnym tempie budujących statki? Możemy tylko zgadywać. Z pewnością to "odkrycie Ameryki" nie minęło bez wrażenia. Ale byłoby daremne próbować ustalić, co o tym myślą.

POGARDA DLA SŁABSZYCH

Nieco łatwiej jest ustalić stosunek Rosjan do konferencji jako takticy. Wystąpienia delegatów rosyjskich, konferencje prasowe, które — dostosowując się do amerykańskich zwyczajów — urządził Molotow (napewnaższy uprzednio salę komunistami i tajnikami) i komentarze prasy, będącej odbiciem poglądów sowieckich dostarczają bogatego pod tym względem materiału.

Przedewszystkiem nie wskazuje na to by stosunek do samej idei konferencji uległ zmianie. Dla Rosjan takie wielkie zbiegowisko, na którym formalnie przynajmniej wszystkie państwa są sobie równe i gdzie głos Hondurasu waży tyleż co głos Związku Sowieckiego nie przedstawia żadnej ponęty. Nieraz brutalnie Rosjanie dali wyraz swemu lekceważeniu dla mniejszych narodów. Guy delegat Meksyku wskazywał na to, że żądanie Molotowa by było czterech przewodniczących jest sprzeczne z kurtuazją międzynarodową, Molotow oświadczył, że nie potrzebuje lekcji kurtuazji. Kiedy indziej ironicznie oświadczył, że "pomimo zastrzeżeń delegata Salvadora Rosja nie zmieni swego stanowiska". Wielkie państwa powinny decydować, małe — wykonywać ich zlecenia — oto zasadnicze stanowisko sowieckie.

Charakterystyczny jest stosunek do saelitów. Można było przypuszczać że dla zachowania pozorów niezależności Jugosławji czy Czechosłowacji delegaci tych państw otrzymają zezwolenie na to, by choćby raz głosować inaczej, niż delegacja sowiecka. Ale okazało się, że troska o pozory ogranicza się jedynie do tego, by... poszczególne delegacje sowieckie nie stały w tym samym hotelu. Ukraińcy zamieszkali gdzie indziej, Białorusini jeszcze gdzie indziej, a mianowicie w hotelu Pickwick (nie wiadomo czy ulokowanie ich w tym hotelu o tak oryginalnej nazwie, w którym żadna inna delegacja nie mieszka, było przez gospodarzy pomyślane ironicznie). Trochę

przypomina to owe pary, które dla przyzwoitości biorą oddzielne pokoje w hotelu... W głosowaniach na komendę delegata sowieckiego zrywali się wszyscy. I Ukraińiec i Czech, Jugosłowianin i Białorusin. Tylko późnej, prywatnie, Masaryk wdychał: "Rad jestem, że mój ojciec nie żyje i nie musi znosić tych wszystkich poniżeń, które mnie tu przypadły w udziale".

Taktyka "traktowania z góry" słabszych znalazła zastosowanie również w stosunku do Francji. Podczas dyskusji o sprawie Polski Molotow tonem rozkazującym zwrócił się do francuskiego ministra spraw zagranicznych Bidault by wypowiedział się. Był pewny, że Bidault po-

prze wniosek o zaproszenie Lublina. I bardzo był rozczarowany gdy Francuz zachował dalej milczenie. Stosunki między obu delegatami stały się odąd bardzo ozięble.

Tak więc zasadnicze stanowisko Rosji pozostaje niezmienione. Decydować mogą tylko wielkie mocarstwa. Ważne musi być utrzymane, tak aby nie się wbrew któremuś z nich nie stało. Cała władza musi być ześrodkowana w ręku rady, gdzie dominować będą te mocarstwa. Zgromadzenie może tylko gadać, ale nie działać.

Ale od samego początku Rosja musiała zdać sobie sprawę z tego, że w całym szeregu spraw ma olbrzymią większość państw (przeciw sobie).



Premjer Tomasz Arciszewski dekoruje Komandorją "Polonia Rossina" brytyjskiego brygadiera Rossa za pomoc przy uwolnieniu więźniów polskich z Rosji

Wiedziała, że inni będą żądać od niej różnych rzeczy. Że pojawi się żądanie wykonania Jałty, którą systematycznie gwałciła. Że gdy wyjdzie na jaw prawda o aresztowanych przywódcach polskich, wysunięte będzie żądanie ich zwolnienia. Że zażąda się od niej zrezygnowania z własnego t. zw. systemu bezpieczeństwa polegającego na ujarzmianiu narodów sąsiednich wysuwając twierdzenie, że bezpieczeństwo zapewni organizacja międzynarodowa. Że podjęta będzie wielka ofensywa dla osłabienia, jeśli nie zlikwidowania, prawa weta, które wszyscy właściwie uważają za kryminał. W przewidywaniu tego wszystkiego Rosja uznała — nie bez racji — że atak jest najlepszą obroną. I obrała taktykę ofensywną. Zanim inni czegoś żądali — ona żądała pierwsza. Wszystkimi sposobami gromadziła atuty do gry. To samo co w Europie robiła w San Francisco: stwarzała fakty dokonane.

KOŃSKI HANDEL

Niepodobna zaprzeczyć, że pod wieloma względami jej taktyka była zręczna choć niebывale cyniczna. Najlepszym przykładem jej jest sprawa Argentyny, która przejdzie do historii jako unikat manewru politycznego. Jeśli dziś zapytać przeciętnego Amerykanina, co myśli o zaproszeniu Argentyny, to dziewięciu na dziesięciu odpowie, że to skandal i kompromitacja polityki amerykańskiej. I że Mołotow odniósł zwycięstwo moralne. A tymczasem tylko dzięki Rosji Argentyna dostała się na konferencję.

To nie przesada. Tak jest naprawdę. St. Zjednoczone z pewnością nie poparłyby wniosku o zaproszenie Argentyny, która jest tu znienawidzona, gdyby nie musiały zapłacić w ten sposób Ameryce łacińskiej za głosowanie za przyjęciem Ukrainy i Białorusi. Rosja domagała się kategorycznie spełnienia obietnicy danej w Jałcie przez Roosevelta — jednej z tych nieszczęśliwych obietnic wydarłych człowiekowi który powalony chorobą nie umiał walczyć o coś lepszego. Groziła wyjściem z konferencji. Delegacja amerykańska w tych warunkach zdecydowała się na "koński handel". Ameryka łacińska zgodziła się na zaproszenie Ukraińców i Białorusinów i nikt nie piśnie ani słowa, choć wszyscy wiedzą, że obie te republiki nie mają żadnego prawa do zasiadania na zgromadzeniu niepodległych narodów. Wzajemnie Rosja będzie głosowała za przyjęciem Argentyny. Transakcja stanęła. Ale gdy pierwsza część została wykonana, Rosja "rozmyśliła" się. Spróbowała sprzedać swego konia drugi raz, tym razem za Lublin. A gdy się to nie udało, to przynajmniej wykorzystała

propagandowo całą sprawę. Mołotow ponad głowami konferencji zwrócił się do narodów świata z mową w najlepszym kominternowskim stylu. I po dziś dzień legenda głosi, że to on zwalczał "przyjęcie faszystowskiej Argenty".

Czy jednak ta gra naprawdę się Rosji opłaciła, Efekt propagandowy był, bo naiwnej opinii świata można wiele wmówić. Ale dyplomacja amerykańska w gruncie rzeczy tego dnia przejrzała. I wraz z nią dyplomacja wielu innych krajów. Dyplomaci mogą nie mieć skrupułów moralnych i dokonywać niezbyt honorowych transakcji, ale nie chcą być wystrychnięci na dudków. Transakcja może być niemoralna, ale musi być wykonana. Inaczej "gra" jest niemożliwa. I od tego dnia także na konferencji powstał problem: co jest warte słowo Rosji? A ostateczną odpowiedź na to pytanie niebawem dała sprawa 16 przywódców polskich.

LEKCJA SAN FRANCISCO

Sprawa Argentyny jest tylko jednym przykładem umiejętnego, choć może nie popłacającego na dalszą metę wykorzystywania błędów - innych. Partnerzy Rosji, a przede wszystkim Amerykanie i Brytyjczycy, popełniali błędy jeden po drugim. Byli ciągle w defensywie, pozostawiając inicjatywę Mołotowowi. Mogli oddać sprawę zaproszenia Ukrainy i Białorusi pod swobodne głosowanie, nie kupując głosów Ameryki łacińskiej i nie płacąc za nie swym prestiżem. Mogli powiedzieć — i powinni byli powiedzieć — że skoro Jałta nie została wykonana, to upada i oddać sprawę zaproszenia rządu polskiego pod swobodne głosowanie konferencji. Mogli przedstawić prawdziwy, a nie bezwartościowy program gwarancji

wolności ludzkiej. Mogli wypowiedzieć się przeciw vetu. Ale niczego z tego nie zrobili. Albowiem bali się, że Rosja trzaśnie drzwiami. Nie umieli zaś sami grozić — tym samym. Były wprawdzie w prasie amerykańskiej przejryste aluzje, że jeśli Rosja odmówi współpracy to i tak powstanie organizacja i że inni łatwiej mogą sobie poradzić bez Rosji, niż Rosja bez innych. Niemniej przeto wahano się postawić sprawę na ostrzu noża.

Tak oto wyglądają wyniki zetknięcia dwu światów w San Francisco. Choć wynikiem konferencji będzie wypracowanie jakiejś Karty, to jednak nikt nie może zaprzeczyć, że dała ona raczej pogłębienia nieufności i nicwiary w możliwość owej współpracy. Oczywiście wydarzenia w Europie zaważyły na tej ewolucji w sposób decydujący. Ale wypadki na samej konferencji też działały w tym samym duchu.

Czy znaczy to że współpraca między Rosją, a zachodem jest niemożliwa? Oczywiście nie. Są wprawdzie Amerykanie, którzy wyciągają taki wniosek i są inni, którzy usiłują wmówić opinii że jedyną alternatywą dla przyjęcia rosyjskiego punktu widzenia jest wojna; próbują też oni wszystkich przeciwników kapitulacji przedstawić jako podżegaczy wojennych. Ale prawdziwa lekcja San Francisco jest całkiem inna: — Współpraca nie jest bynajmniej niemożliwa pod warunkiem że porzuci się dotychczasowe metody "appeasementu", które dały rezultaty jak najgorsze. Jeśli się chce porozumienia z Rosją, to trzeba mówić z nią tym językiem, który jedynie rozumie.

I jeśli ta lekcja zostanie zrozumiana, to może jeszcze konferencja w San Francisco przyda się na coś.

Ś. P.

DR. WAŁENTY DOMINIK

INŻYNIER CHEMIK

PROFESOR S. G. G. W. WARSZAWIE

zmarł w Polsce w 1943 roku przeżywszy lat 52

o czym zawiadamia

c ó r k a

JADWIGA DANIEC.

Chicago, Illinois

STEFANJA ZAHORSKA

WYJĄTKI Z HISTORJI "TRÓJIMPERIUM"

WYDANEJ W ROKU 2445

Wyjaśnienie: Drukowanie książek według wzorów średniowiecznych oraz późniejszego okresu Imperializmu Anarchicznego, zakończyło się w XXI starym stylu, czyli w w. I naszej ery. Miejsce ich zajęły nasze znane dziś powszechnie fonotypy. Książki dawne były nieme, ilustracje, rysunki lub fotografie — zawsze nieruchome, czytanie ich odbywało się indywidualnie. Nasze aparaty foniczne, służące do czytania, oraz nasza ilustracja knofoniczna były wówczas nieznanymi. Nauka czytania skomplikowanym sposobem dawnym zachowała się jeszcze tylko w najbardziej zapadłej części Imperium Zachodniego na wybrzeżach Atlantyku, oraz w niektórych częściach Chin.

Wielki Władimirze, Dyrektorze Imperium Wschodniego,

Wielki Josifie II, Dyrektorze Imperium Środkowego,

Wielki Frank-Gregorze, Dyrektorze Imperium Zachodniego, Wam, których władza rozciąga się od Atlantyku po Ocean Spokojny, Wam, w których państwie świeci zorza polarna i zwornikowe słońce, Wam, ojców ludów najszcześniejszych na tej ziemi, składam w darze dzieło moje.

Wam winien jestem wdzięczność za wolność, która pozwoliła mi na badanie ponurych czasów minionych. Wasza łaskawość otworzyła mi wrota bibliotek. Dzięki Waszej wspaniałomyślności ukazać mogę synom Waszym, obywatelom Trójimperium straszliwość anarchji i wstrętne barbarzyństwo minionych okresów, mogę wzniecić w nich radość, że żyją w szczęśliwym okresie postępu i cywilizacji.

Antyfona: Pochwalon Ojciec Niebieski Teodosius Trismegistos.

Pochwaleni Przodkowie Wodzowie Iwan, Piotr Josif.

Pochwaleni Władcy Dyrektorzy Władimir, Josif II, Frank Gregor.

Śpiew Chóralny.

Z obszernego tekstu I rozdziału, dotyczącego wojen erekcyjnych podajemy ciekawsze wyjątki:

...Znaczenie pierwszej wojny erekcyjnej (1941-1946 ub. ery) polega przedewszystkiem na tym, że rozszerzyła ona znacznie granice Imperium Środkowego i przesunęła sferę działania nowej kultury na zachód. Wojna ta, zwana wojną ruchomą, prowadzona była prymitywnymi środkami technicznymi, posługiwała się wielkimi ilościami ciężkich maszyn i głośnych środków wybuchowych (stąd także jej miano wojny głośnej) oraz

wielkimi masami ludzi. Te przyczyny sprawiły, że już w czasie wojny, ludzie radzkie posuwały się powolnie i ciężko zrazu z zachodu na wschód, potem ze wschodu na zachód, tworząc ruchome fale wojowników, niewiele różniące się od wojowniczych gromad wojska średniowiecznego. W ówczesnej technice wojennej środki techniczne nie zastępowały siły ludzkiej, lecz tylko ją potęgowały. Konsekwencją tego prymitywnego stanu rzeczy było, że posuwanie się siły zbrojnej musiało dokonywać się ławicą, na całym obszarze objętym działaniami wojennymi, ponieważ nie istniały środki techniczne pozwalające na wypełnienie luk, między żywymi jednostkami bojowymi. Drugą cechą charakterystyczną tej wojny była niewspółmierność między ilością i ciężarem broni oraz środków wybuchowych a osiągniętym efektem. Operowano ładunkami wielotonowymi — ilości te wydają nam się dziś fantastyczne — broń wszelkiego typu wykonana była przeważnie z metali ciężkich takich jak żelazo i stal, działanie jej było głośnie ponad granice wytrzymałości ludzkich nerwów. Zużywano też fantastyczne ilości broni i materiałów wybuchowych dla osiągnięcia łatwych stosunkowo celów. Mimo tej technicznej niedoskonałości, pierwsza wojna erekcyjna potrafiła dokonać dzieła zasadniczego, na którym oparł się dalszy rozwój Trójimperium. Potrafiła zniszczyć w dużej mierze podstawy "kultury" anarcho-imperialistycznej na obszarze Europy Środkowej. Ten proces zniszczenia, jakkolwiek wykonany nieudolnie i niewspółmiernym wysiłkiem stworzył ową przestrzeń pustą, której zawdzięczamy, że kultura naszej ery, w swym zwycięskim pochodzie na zachód nie napotkała na poważne przeszkody, czy to w formie istniejących urządzeń technicznych, czy też w zakorzenionych przesądach ludzkich.

Przyczynił się do tego proces, który zwiemy transferem przemysłowym. Obejmuje on dwie pozycje zasadnicze: transfer fabryk i urządzeń technicznych oraz transfer sił roboczych. Dotychczas panowało przekonanie, że obydwa te procesy stoją u podstawy rozwoju Imperium Wschodniego, które w owym czasie było za ledwie u wrót Wielkiego Planu uprzemysłowienia. Rozwój Imperium Wschodniego dopiero się zaczynał i wyobrażano sobie, że przeniesienie całych kompleksów fabrycznych oraz wyszkolonej siły odegra wielką

rolę w dalszym rozwoju. Dziś możemy stwierdzić, że było to złudzenie. Nietylko dlatego, że pierwsza wojna erekcyjna dokonała wielkich zniszczeń na zdobytych terenach europejskich i w rezultacie urządzenia fabryczne, zdolne jeszcze do pracy, znajdowały się tam już tylko w niewielkiej stosunkowo ilości. Ale także i dlatego, że prymitywizm środków transportowych oraz niedoskonała organizacja owych czasów sprawiła, że to co zdołano przewieźć stanowiło jedynie ułamek potrzebnych ilości. Wkrótce szczątki te okazały się przestarzałe i nie odegrały większej roli w dalszym rozwoju. Podobnie przeceniono rolę transferu sił roboczych. Ogółem wywieziono z Europy środkowej (dawnych Niemiec) około 25 milionów ludzi zdolnych do pracy, z różnych pomniejszych państw Europy wschodniej i południowo-wschodniej około 40 milionów ludzi. Transfer ten trwał od r. 1946-1975, i właśnie powolność tego procesu była przyczyną niewielkiej jego wydajności. Poza tym był to element ludzki zanarchizowany, buntowniczy, rzec można, dziki. Nie należy zapominać, że Imperium Wschodnie należące dziś do najlepiej zorganizowanych części Trójimperium, było wówczas dopiero w stanie początkowym. Niebezpieczeństwo hord anarchicznych przewiezionych z Europy, musiało być brane pod uwagę. Trzeba było je rozproszyć po wielkich przestrzeniach, odizolować od siebie i zastosować do nich regulamin ludnościowy nr. 18. W sprawie użytkowania tej przewidzianej siły roboczej Imperialny Urząd Planowania na obszar zachodniej części Imperium Wschodniego, wydał w r. 1994 następujące orzeczenie:

"Szerzenie pogłosek, jakoby transfer siły roboczej z podbitych w czasie pierwszej i drugiej wojny erekcyjnej obszarów Europy do Imperium Wschodniego zakończył się zmarnowaniem tej siły, pociągnie za sobą przeniesienie winnych na kartę ludnościową nr. 16 na okres dożywotni. Stwierdza się, że 25 procent pierwszego Wielkiego Planu Uprzemysłowienia Imperium Wschodniego zostało przez te siły wykonane. Dotyczy to przede wszystkim robót kopalnianych w okęgach północnych, osuszania terenów o okęgach środkowych oraz karczowania lasów. Tylko 10 procent transferowanej siły roboczej okazało się zdolne do pracy w kombinatach przemysłowych i to jedynie na okres 5-10 lat".

Barbarzyńska anarchia okresu poprzedzającego pierwszy wiek naszej ery wyda się może czytelnikom dzisiejszym trudno do zrozumienia i dla tego też trudno im zapewne będzie zrozumieć niebezpieczeństwa, płynące dla naszej nowotworzącej się wówczas kultury. Kinoilustracje uzmysłowia czytelnikom pewne właściwości życia tamtego okresu: Sekwens I: Anarchia gospodarcza. Sekwens II: Anarchia polityczna. Sekwens III: Anarchia życia codziennego. Sekwens IV: Anarchia wiary i nauki.

Wszystko co uważamy za dyscyplinę społeczną wówczas nie istniało. Nie istniała kultura życia zbiorowego. Nie istniała organizacja pracy zbiorowej w naszym pojęciu. Nie istniała organizacja myśli zbiorowej. Nie istniał podział pracy w nauce, sztuce. Nie istniał jednolity plan wychowawczy, tak samo jak nie istniał plan gospodarczy lub plan mieszkaniowy. Rozpasanie anarchicznych tendencji i osobistej samowoli cechowało wszystkie dziedziny życia, od godziny wstawania ze snu do aktów płodzenia i ilości dzieci. Swoboda i wolność jaką cieszymy się dzisiaj, była w owych czasach nie do pomyślenia. W Trójimperium istnieje dziś przeszło 50 poziomów t. zw. przeszło 50 poziomów i odmian życia, pracy rozrywek itd. Istnieje ok. 100 list wykształceniowych, czyli ok. 100 odmian specjalizacji naukowych i artystycznych. Istnieją poza tym listy ludnościowe i mieszkaniowe regionalne t. zn. odmiany życia w zależności od zamieszkanego obszaru. Istnieje możliwość przechodzenia z jednej listy na drugą, w zależności od poczynionych postępów, od zmian upodobania itd. W każdym naszym osiedlu jest urząd przydzielczy, który rozpatruje skrupulatnie sprawę przydziału czy przeniesienia grupy nawet jednostki z jednej listy na drugą. W każdym naszym osiedlu urząd pracy rozpatruje skrupulatnie podania o zmianę wrsztatów pracy lub spełnianych funkcji. Doszliśmy do tego, że nie mamy więzień i tylko 8 procent Trójimperium znajduje się na listach nr. 16 i 18 (obozy pracy przymusowej).

W czasach anarchicznej "wolności" gromady ludzkie siedziały najczęściej przyrosłe do ziemi jak grzyby; w naszym ustroju grupy pracy są przenoszone, i każdy z nas wie, jak wielkie urozmaicenie i bogactwo doświadczeń się z tym wiąże, jak wzmacnia i ożywia się przez to duch wspólnoty grupowej. Nasze okręgowe biura podróży pozwalają każdemu obywatelowi na odbycie przynajmniej raz na miesiąc dwugodzinnego oblotu okręgu, połączonego ze zwiedzaniem osiedli. Trudno wyliczyć wszystkie te proste sprawy, które odróżniają życie nasze od niewolniczego

typu życia epoki minionej. Na jejuna jeszcze fundamentalną różnicę chciałbym zwrócić uwagę. Wydać się to może niezrozumiałe naszym czytelnikom, gdy powiem, że w owej epoce nie istniał plan umysłowy. — Dziedzina myśli i badań naukowych, podobnie jak dziedzina twórczości artystycznej, pozostawiona była bez kontroli, oddana na łup indywidualnych zachcianek, co prowadziło oczywiście do degeneracji i do marnowania wysiłków. Nasz prosty system, znany każdemu studentowi i pracownikowi naukowemu, t. zw. system pragmatyczny po prostu nie był znany. Dziś najmłodszy pracownik wie, że przystępując do pracy, wybrać musi zagadnienie z corocznie odnawianego spisu zagadnień naukowych, ustalonego przez urząd nauki; wie, że osiągnięte wyniki, t. zw. wyniki przedkontrolne, musi poddać rozpatrzeniu komisji fachowej, która ustala ich zgodność z linią generalną; jeśli otrzyma test potwierdzający, wie, że obrany przez niego kierunek jest pożyteczny, że prowadzi do celu właściwego. Dzięki takiemu systemowi poszczycić się możemy postępem, nie znanym w dziejach ludzkości. Dzięki tej organizacji myśli osiągnęliśmy spoiłość społeczną której nie znała żadna epoka przed nami. Spoiłość tę osiągnęliśmy oczywiście jeszcze dzięki najważniejszemu w życiu naszym czynnikowi: dzięki jednoci wiary.

Antyfona: Pochwalon Ojciec Niebieski Teodosius Trismegistos.

Pochwaleni Przodkowie Wodzowie Iwan, Piotr, Josif;

Pochwaleni Władcy Dyrektorzy Władimir, Josif II, Frank-Gregor.

Śpiew chórally.

* * *

Z rodzaju II, obejmującego historię drugiej i trzeciej wojny erekcyjnej, podajemy następujące wyjątki:

...Druga wojna erekcyjna, obejmująca dwudziestolecie 1955-1975, nie zasługuje właściwie na miano wojny zorganizowanej. Był to okres wykonywania planu, powstałego po pierwszej wojnie erekcyjnej, usuwania piętrzących się przed nim przeszkód. Szereg wojen domowych rozgorzał na terenach dawnej Europy środkowej i wschodniej. Nie wytrzebione do tej pory elementy anarchonacjonalistyczne wywoływały zaburzenia wewnętrzne, usiłując rozsadzić ramy organizacji państwowej i organizacji budzącej się nowej kultury, do której oczywiście nie dorosła ludność przesiąknięta rozkładowymi tradycjami. Było to jakby zmaganie się starego i nowego świata. Najczęściej opór stawiały prowincje, leżące dziś na pograniczu Imperium Środkowego i Imperium Zachodnie-

go, czyli t. zw. dawniej Niemcy, Jugosławia i Polska. Walki, które sporadycznie wybuchaly we wschodniej części basenu morza Śródziemnego, stanowiły zadanie łatwiejsze dla naszych armii i dla naszej administracji. Długotrwałość tego okresu wojen domowych tłumaczy się tym, że Europa zachodnia nie była wówczas jeszcze przyłączona do Imperium. Imperium Zachodnie jeszcze wówczas nie istniało. Pozwalało to narodom, żyjącym w tym pasie, utrzymującym się jeszcze w stanie dawnej anarchy i rozporządzającym pewnym uzbrojeniem, na sztuczne podtrzymywanie oporu wśród ludów już do Imperium przyłączonych. Jest rzeczą oczywistą, że Ameryka nie szczędziła trudów, by podsycać bunt tych nieszczęśliwych narodów, które nie rozumiały swego interesu i otumanione wrogą amerykańską propagandą, szły ku własnej zgubie. Jeśli chodzi o poziom techniczny, druga wojna erekcyjna prowadzona była na poziomie bodaj jeszcze niższym od pierwszej wojny erekcyjnej; watahy zbrojne w resztki broni, pozostałej po pierwszej wojnie, nie mogły sprostać naszym armiom i były likwidowane. Zastosowano poza tym przyspieszony proces depopulacyjny; transfer ludnościowy ulepszono i pod koniec wojny przeprowadzano go już drogą lotniczą.

Wyniki drugiej wojny erekcyjnej dadzą się ocenić w sposób następujący: terytorialnie Imperium Środkowe uzyskało wówczas ziemie położone wokół wschodniego basenu Morza Śródziemnego (dawną Grecję, Turcję, Irak), na północy przyłączono do Imperium Środkowego półwysp Skandynawski. Ważniejsze jednak od zysków terytorialnych były następstwa polityczne. Druga wojna uświadomiła konieczność oparcia Imperium na wybrzeżu Atlantyku, a przede wszystkim konieczność zlikwidowania samodzielności wysp Brytyjskich, które mogły stałe zagrazać całości Imperium. Choć odizolowane od środkowcj Europy i rozporządzające tylko zachodnim jej pasem, choć osłabione i przestarzałe w swej średniowiecznej organizacji, wyspy brytyjskie stanowiły jak gdyby przyczółek amerykański na naszych ziemiach, służyły jej zdradzieckiej polityce, były przez nią uzbrajane, i przez nią kierowane. Poza tym, roszcząc sobie prawo do Indyj, które uzyskały niepodległość dopiero w 50 lat później, wyspy brytyjskie stały się za rzewiem niepokojów na południowej granicy Imperium Wschodniego. Po zakończeniu drugiej wojny erekcyjnej rozpoczęło się przygotowanie do trzeciej wojny erekcyjnej, uskutecznione w czterech planach pięcioletnich i zakończone ostatecznie w roku 2000.

Dokończenie nastąpi.

OPINJE I ZDARZENIA

RUINY WARSZAWY



Fragment Krakowskiego Przedmieścia w zburzonej Warszawie. Na pierwszym planie gmach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dawny pałac Andrzeja Zamoyskiego, z którego w roku 1863 Moskale wyrzucili fortepian Chopina (stąd wiersz Norwida "Fortepian Chopina") dalej wieża kościoła Świętego Krzyża.

POLSKI KOMITET OBYWATELSKI DO PREZYDENTA TRUMANA

Polski Komitet Obywatelski w Nowym Jorku w dniu 10 maja br. wysłał następującą depezę do Prezydenta Trumana:

Dear Mr. President:

At this time, when the United Nations are celebrating their victory in Europe, we venture to speak to you as citizens of Poland, the country where this war began but where even now, in spite of victory, foreign totalitarian rule and error prevail. Indeed, Mr. President, Poland, the first member of the United Nations, cannot rejoice over the end of the war, because concentration camps and firing squads continue to be active on Polish soil. In spite of the enormous sacrifices the Polish people have offered for common victory, their nation lies to-day prostrate as though she were as totally defeated as Nazi Germany.

We are profoundly grateful not only for America's hospitality, but for the United States leading part in freeing the world from the Nazi scourge. But we cannot remain silent, when our brethren in Soviet occupied Poland are arrested, tortured and decimated not by an enemy, but by a member of the United Nations. You said yourself, Mr. President, that the future peace must be built on justice for all. Yet in Poland this very same justice is violated by Russia every day of the week and every hour of the day. Your noble predecessor, President Franklin D. Roosevelt, said in his speech on November 11th, 1940: "The Soviet Union... as everybody knows who has the courage to face the facts... is run by a dictatorship as absolute as any dictatorship in the world". This truth has not changed to-day. Only in recent days Russia has committed a new act of treachery and breach of law against Poland, when 16 leaders of the Polish Underground, duly authorized plenipotentiaries of the Polish government and invited by the Soviet authorities to negotiations were arrested under the incredible charge of "Anti-Soviet diversionist activities". Those plenipotentiaries acted with the full knowledge of the British Government and relied on the world of honor of a high Red Army officer, who granted them safe conduct and assured their personal security. This is a violation of law and decency unparalleled in modern history. It is a contemptuous affront to the United Nations, who were desirous to treat the Soviet Union as a fellow member among ei-

vilized nations. Since time immemorial, plenipotentiaries, even of the enemy nation, are accorded rights of immunity and their personal safety is considered sacred. In this case those rights were violated in regard to an Allied nation, and under an excuse no honest person can accept as legitimate.

Mr. President, you are well informed about the indomitable record of the Polish Underground in this war. Yet members of the Polish Underground, who fought the Nazis for five long years, are now the main target of the Soviet persecutions. The incessant arrests of the soldiers and officers of the Polish Home Army are being justified by the accusation that those arrested are guilty of collaboration with the British government against the Soviet Union. This is to say the least, a strange accusation between Allied nations.

A similar charge was raised against the 16 plenipotentiaries, and quite arrogantly announced by Mr. Molotov at San Francisco. This incident is one of many, it falls in line with an open attempt of the Soviet Union to wipe Poland and her people out from the surface of the earth. We are grateful to you, Mr. President, for your determined stand in defense of law and justice in this matter. In the name of our compatriots, who contributed to the extinguishing of the Nazi tyranny and are now suffering horrible Soviet oppression, we appeal to you for a strong defense of Poland's legitimate rights and protection of her people against complete extermination.

We know, Mr. President, from your inspiring words in your speeches to the Congress, to the San Francisco Conference and to the American people, that you stand firm and true behind those principles for which both Americans and Poles fought and died for in this war. Your noble and courageous leadership has won for you the hearts of all people oppressed and struggling for freedom.

We appeal to you, Mr. President, that you do not permit the crimes of Soviet dictatorship in Poland to remain unpunished. We respectfully beg you to use your power that justice be done not only to the 16 victims of Soviet violence but to the whole Polish nation.

We remain, Mr. President,
Yours most respectfully,

For the Polish Citizens Committee,
Marian Dąbrowski, Dr. Józef Frejlich, Romuald Gantkowski, Zygmunt Klingsland, Władysław Korsak, Kazimierz Kranc, Michał Kranc, Henryk Landau, Jan Lechoń, Dr. Leopold Obierek, Zyg-

munt Protassewicz, Rudolf Ratha, Zbislav Roehr, Dr. Zygmunt Rucker, Stanisław Strzetelski, Prof. Józef Sułkowski, Dr. Romuald Szumski, Antoni Tarnowski, Kazimierz Wierzyński.

* * *

Na depezę tę w dniu 17 maja nadeszła następująca odpowiedź pod adresem posła Marjana Dąbrowskiego, pierwszego podpisanego na depeży:

Department of State
Washington

May 17, 1945.

The receipt is acknowledged, by reference from the White House, of the telegram signed by you and other members of the Polish Citizens Committee with regard to the Polish situation.

This telegram has been referred to the officials of the State Department concerned with Polish matters and I assure you it will receive their considered attention. In this connection, I desire to point out that this Government's position with regard to Poland has been based on a full understanding and sympathy for the interests of the Polish people and a desire to see established a strong, free and independent Polish State.

Sincerely yours,

For the Acting Secretary of State:
Elbridge Durbrow
Chief, Division of Eastern
European Affairs.

W POPRZEDNIM 21 (126) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Jak Hitler i Mussolini; Leopold Wellisz; Oddźwięki geniuszu Mickiewicza w Ameryce; Ks. Bolesław Góral; Ernesta Lilięna Słownik; Kazimierz Wierzyński; Do moich Zmarłych; Władysław Broniewski; Szczęście; Anonim; Marlarja; Spacer preahistoryczny; Wacław Solski; Podosubki i Przybieruty; Płk. Włodzimierz Onaciewicz; Klęska Niemiec; Opinie i Zdarzenia.

NA POMOC POLAKOM

Polonia Amerykańska, jak zawsze pierwsza w ofiarności i najwięksi przyjaciele Polski — episkopat katolicki odezwali się natychmiast na wiadomość o potrzebach wielotysięcznej — jeśli nie przeszło milionowej rzeszy Polaków uwolnionych z więzień i obozów koncentracyjnych, wycieńczonych przez straszliwe lata cierpień i udręki, chorób, głodu — których wesprzeć trzeba natychmiast.

Pomiędzy 3 a 16 czerwca odbędzie się w całych Stanach Zjednoczonych ogólnokrajowa zbiórka puszkowej i sproszkowanej żywności. Będzie ona przeprowadzona w całym kraju w około 1,000 parafiach (przeważnie polskich) i mieć będzie na celu zebranie przynajmniej dwóch milionów funtów materiałów dla dotkniętej wojną ludności polskiej.

Poza zbiórką żywności gromadzona także będzie odzież, nowa i używana, jako też lekarstwa i ekwipunek sanitarny.

Akcja ta będzie prowadzona przez agencję War Relief Services — National Catholic Welfare Conference, jednakże w zbiorce tej, która rozpocznie się 3go czerwca i potrwa do 16go czerwca włącznie, usilnie współdziałać będzie Rada Polonji Amerykańskiej i Liga Katolicka.

W każdej diecezji, gdzie odbywać się będzie zbiórka puszkowej i sproszkowanej żywności, przewodniczącym zostanie mianowany jeden z księży, wyznaczony przez Księdza Biskupa z danej diecezji.

Kierownicy zbiórki powołali Komitet Koordynacyjny, który będzie miał pieczę nad zbiórką. Do Komitetu tego wchodzi:

J. E. Ks. Biskup Stanisław Bona, z Green Bay, Wisconsin.

J. E. Ks. Biskup Stefan S. Woźnicki z Detroit, Mich., Wiceprezes Rady.

Dziekani F. X. Świetlik, Prezes Rady Polonji Amerykańskiej.

Potrzeby ludności polskiej są tak olbrzymie, że żadna poszczególna agencja relifowa nie potrafiłaby ich zaspokoić. Jedynie wspólnym wysiłkiem, skoordynowaną pracą, można osiągnąć pomyślne rezultaty. Nie wątpimy, że krajowa zbiórka puszkowej i sproszkowanej żywności, przy współdziałaniu Okręgów i Komitetów Rady Polonji Amerykańskiej, przyniesie spodziewane wyniki.

Jak widzimy zbiórka zakrojona jest na największą skalę. Ma ona rozmach naprawdę amerykański i będzie ona wiecznym tytułem do wdzięczności polskiej dla National Catholic Welfare Conference, dla Rady Polonji i Ligi Katolickiej.

ŚP. BOLESŁAW ROSALAK

W przeszłym tygodniu umarł Bolesław Rosalak, kierownik znanej godziny radiowej, były kierownik Teatru Polskiego w Nowym Jorku, działacz na polu kultury polskiej w Stanach pełen energii i ideowy. — Przybyły do Ameryki stosunkowo niedawno śp. Bolesław Rosalak potrafił żyć się szybko z tym terenem, odczuć tutejszą Polonję i pracować tak jak tutaj trzeba. Dzięki temu wyczuciu ludzi i umiejętności trafiania do nich — Śp. Bolesław Rosalak zrobić mógł więcej niż inni "starekrajscy" Polacy zakamieniali w swoich nałogach i przyzwyczajeniach. Zrobił też wiele, na wszystkim co czynił kładąc piętno swej ideowości, broniąc wszędzie gdzie mógł Polski naprawdę niepodległej, całej i wolnej. Przez krótki okres swego kierownictwa trupą aktorów-uchodźców z Polski, Rosalak niewątpliwie spopularyzował ten teatr wśród Polonji i przełamał pierwsze lody — pomiędzy tutejszem społeczeństwem a nieznanymi przybyszami. Żył krótko i szybko wzmagająca się choroba nie pozwoliła mu dokonać wszystkiego do czego był zdolny. Dziś, gdy go zabrakło — doceniamy dopiero jego talenty, zapał, energję i zawsze skwapliwą wolę służenia sprawie polskiej.

ŻAŁOBA PREZESA OLEJNICZAKA

Prezesa Zjednoczenia Polskiego Rzymsko Katolickiego zarazem zaś Skarbnika Kongresu Polonji pana Jana Olejniczka dotknęła ciężka żałoba — zmarła bowiem po dłuższej chorobie jego żona śp. Zofja Olejniczka. Wszyscy, którzy znają pracę ofiarną i patriotyczną prezesa Olejniczaka, którzy widzieli jak bardzo małżeństwo jego było wzorowe i szczęśliwe, biorą z nim udział w tej żałobie; "Tygodnik Polski" przesyła mu najserdeczniejsze słowa współczucia.

SUKCESY RUTH SOREL W KANADZIE

Z Kanady dochodzą nas wieści o wielkim sukcesie artystycznym Ruth Sorel-Choromańskiej.

Jeszcze w październiku ub. r. wystąpiła Ruth Sorel z własnym recitalem tanecznym w His Majesty's Theatre w Montrealu. Jej nowe kreacje szekspirowskie wywołały wręcz entuzjastyczne pochwały krytyków. Podniesiono raz jeszcze niespotykaną ekspresję i niezwykły artyzm jej rąk. Jeszcze do dziś nieznanymi ludzi (nawet w tramwajach) proszą ją o pokazanie im swych rąk — szczególnie iście amerykański. To że sama, bez zwykłych muzycznych

wstawek między numerami i bez partnerów, wypełnić zdołała cały wieczór, trzymając publiczność w nieustannym napięciu, przyjęte zostało jako niebywały, w każdym razie rzadki w sztuce tanecznej wyczyn artystyczny. Środkowa część programu wypełniona tryptykiem "Ręce Lady Macbeth", trwającym dwadzieścia

Obecnie Ruth Sorel została zaangażowana przez Metropolitan Association Opera", która ma wystawić w końcu maja i na początku czerwca, w ramach Festiwalu Montrealskiego dwie opery: "Wesele Figara" oraz "Carmen". Ruth Sorel powierzone zostało całe kierownictwo choreograficzne i kompozycja baletowa. Po-



RUTH SOREL - CHOROMAŃSKA
w tryptyku "Ręce Lady Macbeth"

minut, jest prawdopodobnie najlepszym tańcem Ruth Sorel, szczytem jej sztuki.

Ruth Sorel prowadzi kursy taneczne w Montrealu, ciesząc się coraz większym powodzeniem.

W granej obecnie komedji Szekspira "Wiele hałasu o nic", na zaproszenie T-wa Szekspirowskiego tańce zespołu ułożyła Ruth Sorel.

zatem w Carmen ma wystąpić jako czołowa solistka.

Ruth Sorel Choromańska przebywa w Kanadzie dopiero od niedawna. Przedtem przez trzy lata mieszkała w Brazylii, w Kurytybie, gdzie założyła własną szkołę i balet, i gdzie wielokrotnie występowała, przeznaczając zawsze dochód z występów na cele polskie.

ODZNACZENIE IRENY LORENTOWICZ



Irena Lorentowicz

Irena Lorentowicz, która ostatnio nie zaniedbując innych swych artystycznych specjalności poświęciła się szczególnie ilustracji książek dzieciennych — odniosła drugie w ciągu roku na tem polu zwycięstwo. W przeszłym roku jej "Lullaby" znalazła się wśród setki książek dzieciennych, uznanych za najlepsze przez jury "New York Public Library" teraz w dorocznym turnieju "Childrens Book Festival" zorganizowanym przez "Herald Tribune" przypadła Irenie Lorentowicz druga nagroda za jej ilustracje do wydanej przez "Roy Publish." książki "Nine cry-baby dolls", będącej transkrypcją pani Bernhardt z książki Janiny Porazińskiej "Dziewięć płaczków-nieboraczek". Z okazji tego konkursu "Herald Tribune" urządziła wystawę książek nagrodzonych; na tej wystawie stoisko "Royu" (pomyślane przez Irenę Lorentowicz jako mały teatr, ilustrujący książkę nagrodzoną) budziło sensację i było największą ozdobą sali. Nowy sukces naszej artystki witamy z serdeczną radością. Nagroda on talent niezwykły ale zarazem rzadki w naszych warunkach wysiłek, wolę mocną w przewycięzaniu trudności; jesteśmy pewni, że solidna amerykańska "karjera" Ireny Lorentowicz jest od tej chwili pewna. Pp. Kisterom należy się wdzięczność polska za ich trwałe wysiłki wśród tylu trudności i przykrości.— Wszedłszy triumfalnie na rynek amerykański z książką Zofji Kossak

zdobyli też oni poczesne miejsce jako wydawcy artystycznej książki dla dzieci, propagując dobrze nasz kraj i naszą sztukę.

NOWE KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI "TYGODNIKA POLSKIEGO"

"O rewolucji" — Ryszard Wraga — Rzym 1945 rok. Nakład: Oddział Kultury i Prasy Drugiego Korpusu — str. 55.

Czerwone djabły pod Arnhem — Marek Świącicki — Rzym 1945 —

Nakład: Oddział Kultury i Prasy II Korpusu. — str. 70.

Nurt — pogrobowcy — Wacław Berent — Rzym 1945 — Biblioteka "Orła Białego". Nakład Oddziału Kultury i Prasy II Korpusu. — str. 224.

Colima — to wulkan zły — Feliks Sobota — Wydawnictwo Delegatury Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Meksyku z funduszków Rady Polonii Amerykańskiej — Meksyk 1945 — str. 93.

"Nigdy nie przypuszczałam, że krem tyle zdziałać może!"



Heleny Rubinstein

ESTROGENIC HORMONE CREAM
3.50

Preparat oparty na naukowych doświadczeniach, stworzony dla Was, które tęsknicie za młodocianym wyglądem. Zawiera hormony estrogeniczne — równoważnik substancji tak obfitej w młodości, lecz zanikającej z wiekiem. Wyrabiany pod ścisłym, osobistym nadzorem w elkiej powagi w dziedzinie urody kobiecej, *Helena Rubinstein "Estrogenic Hormone Cream"* pomoże Wam osiągnąć piękność skóry, opóźniając działalność lat. Zapas na 30 nocy kosztuje \$3.50 i 20 procent fed. tax.



helena rubinstein

Na składzie we wszystkich pierwszorzędnych sklepach